



# KIH-α

Kurier Instytutu Historii

№ 2 (18), R. III

[www.sknh.uni.lodz.pl](http://www.sknh.uni.lodz.pl)

listopad 2006

Słoneczne i pełne dni ustąpiły  
miejsca tym spod znaku zimy –  
mrocznym, chłodnym,  
melancholijnym...

Na poprawę samopoczucia  
dostarczamy Wam kolejny,  
listopadowy numer Waszego  
ulubionego Kuriera. A w nim m.  
in. zabieramy Was do Warszawy  
na zwiedzanie nietypowego  
muzeum, opowiadamy o  
konkurencji dla Hollywood oraz  
przedstawiamy inną ocenę nowego  
oblicza Biblioteki Uniwersyteckiej.

Mamy nadzieje, że każdy z Was  
odnajdzie w tym numerze coś dla  
siebie.

Życzymy miłej lektury  
Redakcja.



## Muzeum inne niż wszystkie

Zapraszam na wycieczkę do Muzeum Powstania Warszawskiego. Najlepiej zacząć ją od dworca Łódź Fabryczna. Polecam jazdę pociągiem, gdyż, przynajmniej do zakończenia remontu na trasie, podróż dostarcza dodatkowego dreszczyku emocji – ileż tym razem potrwa, dwie godziny, trzy, a może cztery? Wreszcie dotarliśmy do Warszawy Centralnej. Z podziemi trzeba wydostać się na Aleje Jerozolimskie i ruszyć w stronę Ochoty. Na komunikację miejską nie ma co liczyć – chyba nie ma bezpośredniego połączenia, a czas oczekiwania na przesiadki byłby pewnie dłuższy niż spacer. A idzie się tylko 20 minut. Z Alej skręcamy w ulicę Towarową. Już z daleka widać wieżę Muzeum i to na nią należy się kierować. Wejście znajduje się przy ul. Przyokopowej. Oczywiście można jechać samochodem, ale przy Muzeum brak parkingów z *prawdziwego zdarzenia*.

Siedziba Muzeum to kilka budynków dawnej elektrowni tramwajowej z początku XX wieku (w środku zachował się jeden z sześciu pieców kotłowni). Kasa znajduje się na wprost bramy, bilety: 1-4 zł. W niedzielę wstęp wolny, ale nie polecam, ze względu na nieprzebrane tłumy zwiedzających. Wcześniej warto zamówić przewodnika (50 zł).

Wchodzimy do Muzeum Powstania. W szatni lepiej zostawić wszystko, co się da, gdyż w środku jest bardzo ciepło (tylko uwaga na numerki: duży, nieporęczny, a do tego ciężki). Przy wejściu dostaniemy naklejkę z logo Muzeum i mapkę. Tę ostatnią radzę wziąć, bo łatwo się zagubić w labiryncie korytarzy. W środku, co kawałek znajdują się materiały o powstaniu, które można zabrać ze sobą. Są to na przykład kartki z kalendarza, ułatwiające m.in. obranie właściwego kierunku zwiedzania. A czasami jest z tym problem – w półmroku nie zawsze widać strzałki, zaś wystawa jest ułożona chronologicznie i szkoda nie zachować tej kolejności. Światło też nie wszędzie dobrze ustawiono – miejscami jest za ciemno, gdzie indziej świeci prosto w oczy lub odbija się od gładkich powierzchni.

Zwracam uwagę wszystkich na to, by wszędzie dokładnie się rozglądać. W każdym miejscu, nawet zupełnie niespodziewanym możemy coś *poznać*. I tak na przykład jeszcze w szatni możemy *zajrzeć* do kanału, gdzie widać przemykających powstańców. Mało jest zresztą eksponatów w gablotach za szkłem. Co kawałek możemy obejrzeć film dokumentalny, zerknąć przez okno do domu, przez lornetkę zobaczyć Warszawę pod okupacją, a nawet *zajrzeć* do kina...

W ściany wmontowano małe szufladki, w których zamieszczono informacje o ważnych osobistościach. Jedną z największych atrakcji jest zrekonstruowany fragment kanałów, ale o tym później. Przy wejściu można zadzwonić do pięciorga uczestników powstania i posłuchać ich relacji o tamtych wydarzeniach. Tak! Zadzwonić, jednak nie będę tłumaczyć wszystkiego, sami się przekonajcie. Gdyby ktoś wybierał się z dziećmi, to świetnie zorganizowana jest Sala Małego Powstańca, gdzie dzieciaki mogą wcielić się w rolę sanitariuszy, popracować w powstańczej poczcie, czy pobawić się replikami zabawek z epoki. W kilku miejscach Muzeum wyświetlane są drastyczne zdjęcia, np. z egzekucji, ale zabezpieczono je tak, by małe dzieci nie mogły ich obejrzeć.

Wkraczamy do całkiem innego świata. Nagle znajdujemy się na warszawskiej ulicy tuż przed wybuchem powstania i przechodzimy przez wszystkie jego etapy. Wystawa odtwarza zarówno przebieg powstania, jak i życie codzienne walczącego miasta. Możemy *zajrzeć* do kuchni polowej czy do szpitala. Atmosfera jest niesamowita; idziemy ulicą i nagle słychać bombardowanie. Pierwszy odruch? Szukać miejsca, gdzie można by się schować. *Atakowane* są wszystkie zmysły, mija chwila, zanim przestajemy czuć lekkie oszołomienie. W tle słychać ciągle bicie serca. To Monument – centralny punkt Muzeum, w którym bije serce powstania. Gdy się go dotknie, czuć jego uderzenia. A gdy przytknie się ucho do jednego z otworów *po kuli* słychać odgłosy walk i piosenki powstańcze.

Na parterze z ciekawszych rzeczy możemy zwiedzić drukarnię. Dodam: działającą. Warto

wziąć sobie na pamiątkę obwieszczenie o rozpoczęciu powstania (uwaga na tusz). Obok jest gratka dla miłośników motoryzacji, niemiecki motocykl BMW R-12 z 1943 r.

Z parteru jedziemy do góry, na Antresolę. Szyb windy wyłożony jest opaskami powstańców. Przy każdej jest informacja, do kogo należała. Obok znajduje się kolekcja broni, jaką dysponowali walczący w powstaniu oraz część mundurów. Te ostatnie są także w innych miejscach. Idziemy dalej, aż do Kina *Palladium*, gdzie możemy przysiąść i obejrzyć trzy kroniki filmowe pod tytułem *Warszawa walczy*, które były w nim wyświetlane podczas powstania. Następnie rzut oka na zrujnowaną Starówkę i wkraczamy do jednego z dwóch kanałów. Ten akurat jest prosty i dość wysoki, nie trzeba się schylać, dno jest płaskie. Na ścianach wiszą zdjęcia z Warszawy. U wylotu są schody, po których schodzimy na I piętro.

Proponuję zacząć zwiedzanie tego poziomu od kawiarni. Cena kawy jest co prawda wysoka (można powiedzieć – czarnorynkowa ☺), ale warto chociaż zajrzeć. Wystrój nawiązuje do lokalu przy ulicy Kredytowej *Pół czarna*, gdzie w czasie okupacji zbierali się warszawscy artyści. Ich zdjęć jest też pełno na ścianach.

Kolejna ciekawa rzecz to replika radiostacji *Błyskawica*. Na 60. rocznicę powstania wykonał ją jej współtwórca Antoni Zębik „Biegly”. Niesamowite wrażenie na zwiedzających wywołuje sala, w której znajdują się kopie listów wysłanych przez Poczta Powstańczą. Wszędzie panuje gwar, a tutaj rozmowy cichną. Większość w skupieniu czyta listy, za pomocą których warszawiacy szukali kontaktu z zaginionymi krewnymi i przyjaciółmi. W tle słychać nagrania osób czytających te listy. Obok jest Sala Niemców. Surowy wystrój i tylko kilka eksponatów, ale to wystarczy. W końcu obecność okupantów da się zauważyć w prawie każdym miejscu wystawy. W ciemnym kącie tej sali (kiedy tam byłam chyba akurat przepaliła się żarówka) znajduje się przestrelony Krzyż Brązowy z Mieczami. Hitler przyznawał takie odznaczenia za „specjalne osiągnięcia” w Kampanii Wrześniowej. Powstaniec zdjął go z munduru zabitego w walce o PAST-ę<sup>1</sup> Niemca.

Jednym z ważniejszych w Muzeum jest Miejsce Pamięci. Są to trzy symboliczne groby Polaków, którzy zginęli w powstaniu, zarówno żołnierzy, jak i cywilów. Tak właśnie wyglądały miejsca pochówku ludzi, którzy zginęli w walce, zostali zasypani w zawalonych kamienicach albo ponieśli śmierć w inny sposób. Wtedy w całym mieście pełno było, często bezimiennych, mogił.

I wreszcie jest! Przykuwa wzrok już od wejścia, ale nie od razu można go obejrzeć z bliska. Dopiero z piętra można podejść bliżej i obejść go dookoła. Specjalnie dla niego przychodzi duża część zwiedzających. Mam na myśli Liberatora B-24J. A raczej jego wierną kopię. Oryginał pilotowała polska załoga pod dowództwem kpt. Zbigniewa Szostaka. Samolot symbolizuje międzynarodową współpracę podczas wojny – produkcja amerykańska, barwy brytyjskie, załoga polska. W replikę wmontowane zostały oryginalne elementy bombowca.

Teraz idźmy do kina (uwaga: silny nawiew, jedyne miejsce w muzeum, gdzie jest zimno). Wyświetlane są tam kroniki z powstania oraz filmy dokumentalne dotyczące II wojny światowej i samego powstania. Schodząc jeszcze niżej, do podziemi, możemy znaleźć kolejny kanał. Tym razem przejście nie będzie takie łatwe – jest to bowiem wierna rekonstrukcja. Ciemna i ciasna, nie ma tylko „kanalnianego” zapachu i wilgoci, ale słychać kapiącą wodę i szum z ulicy powyżej. Tutaj dopiero widać, z jakimi trudnościami spotykali się warszawscy łącznicy i ewakuujący się powstańcy.

Po zwiedzeniu podziemi dla odmiany jedziemy na wieżę podziwiać widoki stolicy. I tu mamy element edukacyjny – plansze ze zdjęciami panoramy miasta, na których wraz z opisem zaznaczono przedwojenne budynki istniejące do dziś. To obala mit, jakoby po powstaniu w Warszawie nie pozostał kamień na kamieniu, nawet jeden ocalały dom. Wręcz przeciwnie, zostało ich całkiem sporo (choćby same zabudowania Muzeum).

---

<sup>1</sup> Chodzi o budynek Polskiej Akcyjnej Spółki Telegraficznej.

Ponownie na dół. Wychodzimy na zewnątrz, do Parku Wolności. Znajduje się tu m.in. replika powstańczego wozu bojowego piechoty „Kubuś” oraz Mur Pamięci (156 m długości), który uwiecznia poległych powstańców. Wryte są na nim, w kolejności alfabetycznej, nazwiska, pseudonimy i stopnie. Na koniec zajrzyjmy do kaplicy i poświęćmy chwilę dla namysłu nad życiem i śmiercią tych, którzy bohatersko walczyli w obronie swojego Kraju i swojego Miasta.

W jeden dzień trudno jest zobaczyć wszystko. Po trzech, czterech godzinach ma się już dość wrażeń, czuć przesyty. Najlepiej nie oglądać wszystkiego na siłę, tylko wrócić za jakiś czas. Zawsze znajdzie się coś nowego, co może było już wcześniej, ale nie zwróciliśmy na to uwagi. Zresztą Muzeum cały czas się rozwija, dochodzą nowe fragmenty ekspozycji.

Powoli zbieramy się do powrotu. Możemy zajrzeć jeszcze do sklepiku z pamiątkami. Nie chcę robić reklamy, ale gadżety z Muzeum są naprawdę na poziomie. Idziemy na Centralny i wsiadamy w pociąg do Łodzi. Jak długo będzie jechał tym razem?

Maria Krawiec  
krawiec16@op.pl

---

## Nowa (BUŁ)a

W numerze październikowym „KIH-y” szeroko w Instytucie kolportowanej, Oslawiony Cyklista zamieścił artykuł na temat BUŁ-y. Kiedy zobaczyłam tytuł, miło mi się zrobiło, bo dobrze jest poczytać o sprawach studenckich. Jednak optymizm malał odwrotnie proporcjonalnie do liczby czytanych słów. Cóż, powodów do zachwytu widzę znacznie mniej, a superlatywy do głowy raczej mi nie przychodzą.

Zatem zacznijmy zwiedzanie, najlepiej od ogrodu i powierzchniowego oglądu konstrukcji. Przed biblioteką stoi rzeźba urody specyficznej, pasująca do fontanny i skalniaków niczym Żeźba do Instytutu Historii. Niewątpliwie, urody dodały jej narzekania i ubolewania studentów, którzy dostali wiosną zmniejszone stypendia motywacyjne (jakkolwiek cięcia nie mają związku z inwestycjami Uniwersytetu, to trauma 50 zł pozostaje w pamięci).

I jeszcze obowiązkowa szatnia, w której pozostawienie ubrań i toreb zajmuje niekiedy więcej czasu niż uzupełnienie i wrzucenie rewersów do skrzynek. Nową bolączką są szafki w ilości nieadekwatnej do ilości wieszaków. Zrozumie ten, kto musiał stać w kolejce kilkadziesiąt minut po kluczyk, a przy wejściu do biblioteki nerwowo przyspieszał kroku, aby zwinnym slalomem ominąć innych studentów ofensywnie patrzących na drzwi.

Kolejne zaskoczenie czeka studenta po wejściu do holu, po lewej stronie: pewne *semantyczne novum* – Informatorium; kto, co? Informatorium, kogo, czego? Informatorium, komu, czego? Informatorium... i wszystko jasne. Ale dobrze, że przynajmniej pan i panie są mili i informa... udzielą. Ale skierujmy się tam, gdzie, jak dotychczas, student najczęściej czasu spędzał, czyli do kolejki przed Wypożyczalnią. Rekordziści stali trzy godziny w oczekiwaniu na zapisy i niewybrednymi słowami rzecz komentowali; *jedna godzina, druga godzina i też trzecia kurde bele leci...* Bez wątplenia BUŁ-a dzięki kolejce urasta do nowego miejsca spotkań towarzyskich, coś na wzór bankietów na stojąco ze stołem szwedzkim, tylko bez stołu szwedzkiego (chyba, że uruchomią bar).

Co więcej, poruszanie się po BUŁ-e wymaga nowych umiejętności dostosowawczych. Aby dostać się na piętro, trzeba skorzystać ze schodów albo windy. Niby nic takiego, a jednak klaustrofobiczna i duszna klatka schodowa pachnie jak szatnie na basenie w Konstancynie. Windy wyglądały nowoczesnie i obiecująco, dopóki się nie zablokowały między piętrami z pasażerką w środku. Jak pokazuje mistrz absurdałnego poczucia, ktoś musiał wyjść z roli

Supermana i zamienić się, tym razem, w mechanika od windy.

Załóżmy inną sytuację, często spotykaną: ktoś biorący książkę z wolnego dostępu na trzecim piętrze musi też skorzystać z Czytelni Głównej. Na pewno nie zabłądzi, gdyż droga do czytelni jest na razie jedna: schodami/windą w dół, korytarzem do starego budynku i znowu w górę. O zdrowie trzeba dbać i dużo spacerować, ale może niekoniecznie, w budynku, wtedy, gdy komuś się spieszy i w perspektywie ma spotkanie z legendą BUŁ-y – Panem S. Dłuższej przechadzki wymaga też dojście do kącika taniej książki, który pozostał w poprzednim miejscu.

Toalety na piętrze w nowym budynku istnieją najczęściej w legendach i podaniach (najczęściej, bo niewiele osób z nich korzystało, a zdecydowana większość nie może ich znaleźć). Są przy szatni i... Nieuświadomieni studenci będą wdzięczni komuś, kto takowe znalazł i poinformuje o tym. Nagrody pieniężnej, niestety, nie możemy ufundować, ale wiązanek uprzejmości – dlaczego nie.

Dziwi nieco lokalizacja Informacji Studenckiej i droga do niej – w nowym budynku, na pierwszym piętrze i co dalej? Na żadnym z dostępnych w formie ulotnej planów nie zaznaczono.

Karolina Sikala  
[ja\\_karusia@wp.pl](mailto:ja_karusia@wp.pl)

---

**I TY**

**MOŻESZ ORGANIZOWAĆ**

**NAJWIĘKSZĄ**

**STUDENCKĄ KONFERENCJĘ HISTORYCZNĄ**

**W POLSCE!**

**PRZYŁĄCZ SIĘ DO SKNH!**

**Zapraszamy!**

**Spotykamy się co tydzień w poniedziałki o 16:30 w s. 204.**

## Pomoc duchowieństwa łódzkiego dla represjonowanych w stanie wojennym

*byłem w więzieniu, a przysłiście do Mnie*  
Mt. 25, 36

Prawie ćwierć wieku dzieli nas od tragicznych wydarzeń, które rozegrały się 13 grudnia 1981 roku. Wtedy to decyzją Rady Państwa na obszarze całego kraju wprowadzono stan wojenny. W pamięci pokolenia, które doświadczyło go osobiście, jawi się jako czas kłopotów z aprowizacją, z pustymi półkami sklepowymi, czy trudnościami komunikacyjnymi. Dla wielu pozostanie jednak czasem niesprawiedliwości, zamachu na wolności obywatelskie, okresem walki o wolną, niepodległą Polskę. Nowe pokolenie odbiera ten jakże ważny etap w losach naszego narodu jako kolejny odległy epizod w rodzimej historii.

Stan wojenny był nową rzeczywistością, z którą przyszło zmierzyć się każdemu, zarówno tym, którzy trzymali ster władzy, jak i społeczeństwu oraz nierozzerwalnie z nim związanemu Kościołowi. W czasach PRL-owskiego „zniewolenia” to właśnie Kościół był spoiwem narodowej solidarności. Stawał się on tym mocniejszy, im bardziej krytyczne decyzje podejmowała władza. *Obrona życia ludzkiego i pomoc pokrzywdzonym stawała się sprawą zasadniczą.*

Jeszcze zanim przedstawiono oficjalne stanowisko Kościoła wobec wprowadzenia stanu wojennego, Kościół hierarchiczny rozpoczął swą działalność na polu pomocy poszkodowanym.

W obronie internowanych z regionu łódzkiego stanęli przedstawiciele tutejszej kurii – ordynariusz bp Józef Rozwadowski, kanclerz Andrzej Dąbrowski i sufragan łódzki, bp Bohdan Bejze. Na spotkaniach z przedstawicielami władzy niestrudzenie walczone o poprawę sytuacji internowanych i aresztowanych. Wysuwano postulaty natychmiastowego uwolnienia, zwłaszcza chorych, czy jedynych żywicieli rodziny. Nieznane były także rozmiary grudniowej akcji. Apelowano o opublikowanie pełnej listy zatrzymanych. Priorytetem stała się walka o możliwość odwiedzin w czasie nadchodzących świąt Bożego Narodzenia i pozwolenie na posługę duszpasterską w miejscach odosobnienia, dawało to bowiem jedyną szansę skontaktowania się z internowanymi i aresztowanymi.

Pomoc wszystkim represjonowanym ze względu na orientacje polityczne, stała się dla biskupa Rozwadowskiego naczelnym zadaniem. To dzięki niemu i pod jego patronatem powstały dwa największe w regionie centra, z których rozchodziła się pomoc na całą diecezję, dla wszystkich prześladowanych przez system.

Pierwszym, powołanym przy kościele oo. Jezuitów kierował ojciec Stefan Miecznikowski. Ośrodek Pomocy Uwięzionym, Internowanym i Ich Rodzinom, bo taką nazwę oficjalnie nosiła ta placówka, swym zasięgiem objął kilkaset osób pozbawionych wolności wraz z ich najbliższymi. Funkcjonowanie Ośrodka było możliwe dzięki zaangażowaniu ludzi dobrej woli, którzy poświęcając swój czas, nieśli pomoc innym, a przede wszystkim dzięki darom, które napływały z zagranicy, z kurii biskupiej, a także od mieszkańców Łodzi.

Nieco odmienny charakter miał Ośrodek Pomocy Osobom Pozbawionym Pracy, powołany przy parafii pw. Najświętszego Zbawiciela, którym kierował ks. Antoni Głowa. Zadaniem tej placówki było ewidencjonowanie wszystkich zwalnianych z pracy w regionie łódzkim, z powodów politycznych. Pracujący w Ośrodku prawnicy bezpłatnie udzielali porad prawnych oraz pośredniczyli w znalezieniu zastępczej pracy. W czasie stanu wojennego pomocy udzielono około tysiącowi osób.

Oprócz wspomnianych, w Łodzi funkcjonowały także ośrodki pomocy przy parafii św. Teresy oraz Podwyższenia św. Krzyża, a także św. Mateusza w Pabianicach. Jednakże działalność tych placówek nie miała tak szerokiego zasięgu.

Przemysław Stępień  
velazkez@poczta.fm

## Kiedy kredki są zbyt kolorowe...

*Więc pomaluj mój Świat, na żółto i na niebiesko,  
Niech na niebie stanie tęcza malowana Twoją kredką.  
Więc chodź pomaluj mi życie, niech świat mój się zarumieni,  
Niech mi załśni w pełnym Słońcu kolorami całej ziemi.  
2+1, Chodź pomaluj mój świat*

Bollywood.

Owo tajemnicze słowo pojawiło się w Polsce u kresu poprzedniego milenium. Niedługo przed premierą jak na razie najpopularniejszego nad Wisłą filmu indyjskiego *Czasem słońce, czasem deszcz*. Wtedy Wojciech Mann nagrał dla *Discovery Chanel* serię programów kulturalnych, z których jeden poświęcony był kinematografii rodem z półwyspu Dekan. Tym sposobem kilka osób więcej niż tylko pasjonaci mogło się zaznajomić, choć powierzchownie, ze zjawiskiem Bollywoodu. Później był wspomniany już film i kraj zwariował.

Filmy indyjskie głównego nurtu charakteryzują się całkowitym odrealnieniem, połączeniem dramatu i komedii, fabuły i piosenki. Wszystko zaś jest niesłychanie kolorowe i radosne. Nie pokazuje się w nich przemocy, ani scen miłosnych. Króluje gest, ruch ciała (taniec), wyraz twarzy. Bohaterowie są wolni od jakichkolwiek przywar fizycznych. Nie znają biedy. Zaś aktorzy występujący w bollywoodzkich produkcjach traktowani są jak bogowie. Mieszkańcy Indii poddają się zbiorowej psychozie, modlą się do swoich aktorów oraz w ich intencji.

Kraj Indusu i Gangesu produkuje rocznie więcej filmów niż analogiczna Fabryka Snów w USA. Produkcje te można kochać lub nienawidzić. Nie pozostawiają nikogo obojętnym.

Wszystko jest w nich przerysowane i nieprawdziwe. Wszystko jest kiczowate.

Słyszałem niedawno opinię, iż skoro ludzie chodzą na takie filmy do kina znaczy to, że jest takie zapotrzebowanie. Ludzie pragną się wyzwolić z konwencji europejskiej kultury. Chcą wiedzieć, że wszystko się skończy dobrze. Że świat jest dobry i kolorowy.

Jednak czy zapotrzebowanie na kicz zmienia fakt, iż mamy do czynienia z kiczem? Czy społeczne zapotrzebowanie na telenowelę zmienia to, że mamy z nią do czynienia? Bollywoodzkie produkcje są bowiem kinowymi telenowelami. Filmami pozbawionymi większego sensu fabularnego, powodującymi, że na samą myśl o miłości dostajemy mdłości. Sprowadzają rozmowę między mężczyzną i kobietą do piosenki o bransoletkach na nadgarstku.

Konstruowanie na siłę teorii, mających uzasadnić, dlaczego filmy z Dekanu są tak popularne w Polsce, Europie i świecie w ogóle jest całkowicie irracjonalne. Fascynacja minie, gdyż znakomita większość widzów najzwyczajniej będzie musiała się udać do diabetyka. Nawet latynoskie telenowełe nie serwują nam takiej papki cudaczności. Nawet tam jest bieda. Nawet tam są ludzie przeciętni fizycznie lub po prostu brzydcy. Nawet bajki dla dzieci obdarzone są głębią.

*czyt. dalej s. 8 - >*

---

**Zespół redakcyjny: Przemysław Damski, Andrzej Kompa, Wojciech Marciniak, Kajetan Rudnicki, Sylwia Wielichowska.**

**Współpraca: Sebastian Adamkiewicz, Maria Krawiec, Karolina Sikala, Przemysław Stępień, Adrian Karolak.**

**Rycerzyka projektował Przemysław Damski.**

**Drukowano w Pracowni Kserograficznej Instytutu Historii  
Uniwersytetu Łódzkiego oraz w Pracowni Introligatorskiej  
i Kserograficznej pp. Ewy i Amilkara Kosińskich.**

Nakład 250 egz.

Pewna Polka, której udało się zagrać poślednią rolę w najnowszej produkcji indyjskiej twierdzi, że ludzie potrzebują uczucia, ciepła i miłości, a Europejczycy czy Amerykanie zatracili możliwość opowiadania o fascynacji między kobietą a mężczyzną. Pozwolę się z tym nie zgodzić. Mimo regresu są filmy, które biją rekordy popularności i które są niebanalne. Chociażby francuskie *Popatrz na mnie* czy *Amelia*, hiszpański *Porozmawiaj z nią* czy amerykański *Między słowami*. Z kręgu baśniowo-irracjonalnego są *Kontrolerzy* Nimrôda Antala. Zaś jeżeli ktoś chce koniecznie obejrzeć cukierkową historyjkę, jest masa lepszych i gorszych komedijek romantycznych.

Nie trzeba oglądać filmów, gdzie dialog przeplatany jest nielogicznie wtrącanymi piosenkami w stylu: *mam pachnące mydło, kupię sobie ręcznik*. Banał powinien mieć swoje granice. O większości filmów miłosnych można powiedzieć, że są banalne. Uczucia mają to do siebie, że dla niezaangażowanego mogą się wydawać niczym innym, jak trywialną reakcją na tego czy innego człowieka. Problem w tym, że chcemy być przekonani o wyjątkowości własnych przeżyć. Czy będziemy w stanie dalej tak myśleć, jeżeli miernikiem wartości będzie kicz? Kicz wmawiający widzowi, że tylko kolorowa oprawa, ładne ubrania i nieskazitelny wygląd obiektów naszych uczuć są czymś dobrym.

Bollywood to telenowela doprowadzona do granic absurdu. Telenowela, która w końcu się skończy. Tylko *Moda na sukces* trwa wiecznie.

Przemysław Damski  
damen32@wp.pl

Wszystkich mający odmienny pogląd zapraszam do polemiki.

---

### Idziecie i nauczajcie...

Jest w Polsce takie powiedzenie, że każdy Polak jest dobrym lekarzem, politykiem, trenerem piłkarskiej reprezentacji Polski oraz... historykiem. Codzienność wydaje się to potwierdzać. Czyż nigdy nie byliśmy uczestnikami emocjonujących polemik historycznych u cici na imieninach, gdzie podchmieleni wujkowie wygłaszali zgrabne koncepcje historiozoficzne? Czy czasem, zupełnie przypadkiem, nie zawiesiliśmy na chwilę słuchu i wzroku na debacie politycznej, gdzie wiedzą historyczną sypie się jak z rękawa? Czyżby nasze tramwaje, autobusy i inne środki komunikacji nie były po brzegi wypełnione domorosłymi historykami, odkrywającymi najgłębsze tajemnice ludzkiej cywilizacji? A może fora internetowe pozbawione są wybitnych badaczy, wchodzących w najczarniejsze zakątki życiorysów znanych Polaków? Tak, Polak potęgą historyczną jest i basta.

Trochę gorzej wygląda to jednak, jeśli spojrzymy na sprzedaż historycznych książek, czy prasy historycznej, nawet popularno-naukowej. Znalezienie w zwyczajnym kiosku miesięcznika „Mówią Wieki” graniczy wręcz z cudem nie mówiąc już o tym, że to w zasadzie jedyne tego typu czasopismo w Polsce. Mamy więc dowód na kolejną przedziwną schizofrenię naszego Narodu. Znajomość historii w społeczeństwie ogranicza się bowiem do utartych sloganów wypełnionych mitami i przekłamaniami. Nie może być jednak inaczej, jeśli badania historyczne do ludzi nie docierają. Czasem wydaje mi się, że winę za całą sytuację ponosimy my, środowisko historyczne, do którego też się chcę zaliczyć. Dziś przeciętny Polak zna w zasadzie dwie osoby zajmujące się historią – Bogusława Wołoszańskiego i Normana Daviesa. Nic nie dadzą tu lamentacje historyków, narzekających na nieudolność



i samokreację twórcy *Sensacji XX wieku* lub też upraszczanie historii przez Daviesa. Są to wszakże autorzy, którzy potrafią w sposób ciekawy i syntetyczny przedstawić wybrane epizody historyczne. I choćby ich stwierdzenia były największymi przekłamaniami czy uproszczeniami, przekazane w wygodnej formie, o wiele szybciej trafią do przeciętnego człowieka, niż najwybitniejsze wywody polskiej historiografii. Powiem więcej, próby mówienia do ludzi o historii w sposób lekki, łatwy i przyjemny spotykają się często z oporem środowiska, które odrzuca od siebie myśl, że cokolwiek można przedstawić w sposób prosty. A może powinniśmy zacząć? Nie jest bowiem tak, że Polacy odrzucają historię, nie interesują się nią. Turnieje rycerskie, występy grup rekonstrukcji historycznych gromadzą setki widzów. Filmy historyczne cieszą się zaś wielotysięczną widownią. Percepcja dzisiejszego społeczeństwa jest bowiem skierowana przede wszystkim na efekty wizualne. Naiwnością jest bowiem myślenie, że przeciętny człowiek rozpocznie swoją przygodę z historią od *Studiów nad początkami państwa polskiego* autora wiadomego.

Niewątpliwą szansą na rozwój historii w Polsce jest powstanie dwóch kanałów tematycznych w największych sieciach telewizyjnych. Od stycznia na nasze ekrany trafi TVP Historia, już działa TVN Historia. Może być to punkt zwrotny w dziedzinie popularyzacji historii. Szary Kowalski chętniej bowiem po ośmiu godzinach ciężkiej pracy włączy telewizor niż sięgnie po książkę. Dobrze, aby zamiast kolejnego odcinka *M jak Miłość* do jego oczu i uszu trafiały dobrze wyprodukowane i ciekawe programy historyczne. Środowisko historyczne przerwać zaś powinno skorupę twardej nauki, którą rządzi hasło *im trudniej, tym lepiej*. Popularyzację nauk historycznych należy rozpocząć od rzeczy najprostszych. Być może człowiek zachęcony dobrym programem w telewizji, spróbuje zajrzeć choćby do jednej książki. Być może zaintryguje go ona do tego stopnia, że sięgnie po kolejną. Historia musi fascynować. Nie może być zlepkiem faktów i dat, powinna stać się emocjonującą podróżą po przeszłości. Zastanówcie się nad tym, myśląc o swojej przyszłej pracy naukowej. Dziś jesteście tylko studentami, niedługo staniecie się historykami...

Sebastian Adamkiewicz  
seba1984@gazeta.pl

---

## Matnia

We współczesnym kinie mamy ogromny wybór, dotyczący różnych gatunków filmu. Trudno zdecydować się, co właściwie obejrzeć. Nierzadko ta sytuacja wynika z faktu, że wiele filmów jest podobnych do siebie lub wręcz są takie same. Jedynie zmienia się reżyser, obsada, miejsce, gdzie rozgrywa się akcja i imiona głównych bohaterów. To tyle, co współczesna kinematografia może nam zaproponować. Moim zdaniem to naprawdę niewiele.

Zapominamy o wielkich mistrzach kina i ich obrazach, które są ponadczasowe i bardzo często oryginalne. Jednym z nich jest *Matnia*. Film wyreżyserowany przez Romana Polańskiego. To historia pewnej pary mieszkającej na zamku położonym na wyspie. Hm... cóż można o nich powiedzieć? Z całą pewnością Teresa i George nie są dobraną parą. Oboje są ludźmi dorosłymi, ale nie dojrzałymi. Różnią się pod każdym względem, Teresa jest kobietą wyzwoloną, niestroniącą od mężczyzn, a George to typ maminsynka, często obrażającego się, gdy coś nie idzie po jego myśli. Żyją w zamku razem, ale jednocześnie oddzielnie, gdyż zbyt mało rzeczy ich łączy.

Ich monotonne życie przerywa nagle niespodziewana wizyta dwóch gangsterów (ich wygląd wskazuje, że nie nadają się do tego fachu). Uciekają przed policją. Jeden z nich jest ciężko ranny i wkrótce umiera. Drugi, w pełni sprawny, ma jedynie unieruchomioną lewą rękę, co może być wynikiem postrzału.

Wraz z przebiegiem akcji filmu orientujemy się, że obraz Polańskiego nie jest ani

kryminałem, czy thrillerem, lecz dobrze przemyślaną groteską, a co za tym idzie, nie może obyć się bez dużej dawki czarnego humoru. Ukazuje relacje dominujący – podległy. Ranny gangster o imieniu Richard nie może się skontaktować ze swoim szefem Katelbachem, więc postanawia podporządkować sobie właścicieli zamku. Co w takiej sytuacji robi George? Właściwie nic. Ulega oprychowi, nie wie, co dalej począć. Ukazuje w ten sposób brak męstwa, jak to dobitnie określiła jego małżonka, *traci jaja*. Z kolei Teresa zachowuje się jak smarkuła, pragnąca dostać lanie, które otrzymuje od gangstera.

Obraz Polańskiego ma również inny wymiar, mianowicie wszyscy bohaterowie znaleźli się w tytułowej matni. Każdy bohater filmu od kogoś lub czegoś uciekł, lecz miejsce, do którego trafili, nie okazało się szczęśliwe. George sprzedał fabrykę, by oddać się malowaniu i młodej, pięknej żonie. W rzeczywistości, nie był ani utalentowanym malarzem, ani szczęśliwym mężem. O Teresie nie można zbyt wiele powiedzieć, gdyż za mało o niej wiemy. Jedyne to, że pochodziła z Francji, jest piękną i wyzwoloną kobietą, chętnie nawiązującą bliskie znajomości z mężczyznami. Spędza czas malując paznokcie, hodując kury i pędząc bimber. Richard grający rolę czarnego charakteru, tylko pozornie trzyma rękę na pulsie. W rzeczywistości nie wie, co ma dalej robić, jest przerażony swoim położeniem. Umiera jego kolega, a szef Katelbach już dawno spisał go na straty. Finał filmu jest bardzo ciekawy, lecz nie będę go zdradzał, gdyż liczę na to, że zobaczą go czytelnicy „KIH-y”.

*Matnia* została nakręcona w 1966 roku. Scenariusz do filmu napisał Roman Polański i Gérard Brach. Znakomita jest muzyka, którą napisał Krzysztof Komeda. Można ją scharakteryzować w ten sposób, iż balansuje między grozą a groteską. Wiele komplementów należy się aktorom, którzy stworzyli niezapomniane kreacje. W rolę gangstera – Richarda wcielił się Lionel Stander, Teresę zagrała Françoise Dorléac, starsza siostra znanej i cenionej Catherine Deneuve. Jej kariera zapowiadała się bardzo obiecująco. Zagrała m.in. u reżyserów francuskich tzw. Nowej Fali – u François Truffauta (*Gładka skóra*) i Jacquesa Demy (*Panienki z Rochefort*). Jej karierę przerwała tragiczna śmierć w wypadku samochodowym. W rolę George’a wcielił się brytyjski aktor Donald Pleasence, znany z wielu filmów, m.in. *Halloween*.

Znakomity scenariusz, odpowiednio dobrani do swych ról aktorzy i, co najistotniejsze, perfekcyjna reżyseria skłania mnie do wniosku, że film ten zasługuje na miano arcydzieła. W związku z powyższym, jeśli komuś zdarzyłoby się znaleźć *Matnię* w programie telewizyjnym, gorąco zachęcam do obejrzenia.

Adrian Karolak

---

11 października 2006 r. Studenckie Koło Naukowe Historyków wzięło udział w organizowanej przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej Instytutu Pamięi Narodowej IX lekcji historii w terenie – **Wywiad Związku Walki Zbrojnej 1939-1941**. Poniżej zamieszczamy relację z tego wydarzenia, zaznaczając, że jest to tylko fragment artykułu.

Redakcja

### ***Jak rozpoznawać różne gatunki drzew z dużej odległości?***

Zegarek zadzwonił, a raczej wygrał melodię z *Greka Zorby*. Położenie wskazówek pozwalało przypuszczać, że była godzina 4:40. Za oknami ciemno. Jedyne, co można było dostrzec i mieć stuprocentową pewność, co to za rzecz, to odległy o kilkaset tysięcy kilometrów jedyny naturalny satelita Ziemi. Tak czy inaczej wykonawszy poranne czynności związane z toaletą,

spożyciem posiłku, zamieszczeniem herbaty najpierw trzy razy w lewo, a potem cztery razy w prawo, udałem się na plac Wolności, gdzie pod pomnikiem Oślawionego Naczelnika, *upięk-szonego* ostatnio prezydencką tablicą pamiątkową, winien zebrać się kolektyw SKNH UŁ.

O godzinie 6:00 wszyscy mieli stawić się w wyznaczonym miejscu, skąd mieliśmy następnie udać się na miejsce zbiórki faktycznej, tj. *loci*, skąd odjeżdżały autokary do Inowłódza i gdzie oczekiwać nas miała Pani Opiekun, jeden z Prominentnych Działaczy Koła [dalej PDK], zwany w dotychczasowych publikacjach Oślawionego Cyklisty Loozakiem, oraz inny jegomość, który jak się miało okazać najlepiej czytał mapę, w związku z czym zwać go będziemy niżej Kartografem.

Co zdumiewające, gdy wybiła wzmiankowana godzina, Koło było już dawno w komplecie. Rzecz to na tyle niesłychana, że godna odnotowania co najmniej po dwakroć. Zatem byliśmy punktualni i kompletni, choć raz.

Nie tracąc czasu skorzystaliśmy z miejskiego środka lokomocji zwanego tramwajem, a następnie z pobudzanych procesami biochemicznymi własnych odnóży. Dostaliśmy się na ulicę Emilii Plater. Pani Opiekun i Loozak już nas oczekiwali i przywitali odpowiednio porannymi: *Dzień dobry!* i *Cześć!* Fakt zagubienia się Kartografa na osiedlu nie wróżył dobrze na przyszłość, jednak dzięki naszym profesjonalnym instrukcjom (*Tu jesteście! No choć, widzę cię!*) szybko drużyna SKNH w komplecie zasiadła w autokarze pełnym Chyba Gimnazjalistów<sup>α</sup>. Swoje miejsca zajęli kolejno następujący przedstawiciele Koła: Pani Prezes, Wiceprezes zw. Trole, Skarbnik zw. Marudą, Kobieta, Która Wiecznie Się Uśmiecha, Nawet Wtedy, Kiedy Się Nie Uśmiecha (w skrócie KKWSUNWKSNU)<sup>β</sup>, koleżanka zw. Pokręconą, Szacowny Doktorant (Szadoł), Kartograf oraz, by nie dublować już występującego kryptonimu, *messer* Czepialski.

Podróż do Inowłódza upłynęła nam pod znakiem oglądania przewróconych TIR-ów, powtarzania co rusz, że *Co dwadzieścia trzy lata wiosną, przez dwadzieścia trzy dni żeruje... Smakosz*, kończąc za każdym razem stwierdzeniem, *Jak to było po łacinie?* Jak też na modlitwach do Istoty Najwyższej, byśmy nie musieli uczestniczyć w konkursach „wiedzowych”, rywalizując z naszymi młodszymi towarzyszami podróży, tudzież ich rówieśnikami podróżującymi innymi autokarami. Oficjalna wersja, rozgłaszana przez gremium SKNH brzmi: *Bo nie mieliby z nami szans*. Prawda zaś była dużo bardziej okrutna. Perspektywa obciachu, nie udzielenia poprawnej odpowiedzi na pytanie wywoływała u nas lekką konsternację, podszytą zastanowieniem: *Czy się wyda jak się zbłaźnimy?*

*A teraz... Nr 1. MODRZEW.*

Po mniej więcej godzinie rozradowane SKNH dotarło do Inowłódza. Zaskoczyły nas odnowione stopnie, po których dostaliśmy się na szczyt wzniesienia, gdzie znajdował się średnio-wieczny kościółek św. Idziego oraz *ziomb*. W autokarze bowiem było nie tylko zabawnie, lecz przy okazji i ciepło. Nasze wątłe powłoki cielesne nie były przygotowane na tak duży szok termiczny, jaki stał się udziałem członków SKNH. Niemniej byliśmy dzielni. Na szczycie wzgórza poza kościołem, wzniesionym prawdopodobnie przez Bolesława Krzywoustego<sup>γ</sup>,

<sup>α</sup> Aparycja niektórych przedstawicieli płci brzydkiej oraz ubiór pewnych reprezentantek ładniejszej strony naszego gatunku nakazywały się zastanowić, czy niektórzy nie są aby starsi.

<sup>β</sup> Zachodzi podejrzenie, że jest spokrewniona ze Śmiercią. TYM ŚMIERCIA, który to nie ma specjalnego wyboru i też wiecznie się uśmiecha. Zastanawia jednak fakt, że PDK KKWSUNWKSNU jest przyobleczona w układ krwionośny, mięśniowy i skórę, co trochę utrudnia zadanie. Może mamy zatem do czynienia z zaskakująco długo trwającym szczękościskiem. Tak czy inaczej koleżanka owa jest bardzo sympatyczna, toteż postanowiliśmy zawiesić pracę dyplomową, której celem miało być odkrycie przyczyn tego niecodziennego zjawiska (Tych którzy nie zrozumieli przypisu odsyłamy do serii *Świat Dysku* Terry'ego Pratchetta).

<sup>γ</sup> Oczywiście sławny książę Polski nie wznosił go przy pomocy swoich gładkich i poprzecznie prążkowanych

dojrzyć można było wiele elementów tamtejszego krajobrazu, jak pomnik Władysława Hermana, spod płaszcza którego wyzierała postać małego Bolusia o Krzywych Ustach oraz kontenery na śmieci i tzw. *tojtaje*. W tym też momencie SKNH postanowiło zrobić jedno z pierwszych grupowych zdjęć podczas tejże wycieczki. Pani o niezwykle przyjemnej aparycji zdjęcie wykonała, lecz Władysław Herman został pozbawiony głowy<sup>8</sup>. Po tym radosnym momencie udaliśmy się na zwiedzanie wzmiankowanego obiektu sakralnego.

Nim dostaliśmy się do środka, musieliśmy wysłuchać legendy, której słycać nie było, po czym, gdy dostarczono mikrofon z głośnikiem jakiś pan chyba ucieszył się z jego widoku i zapragnął się nim pobawić. Ach ci mężczyźni i ich zabawki. Przemieszczał go w różne rejonny ograniczając możliwości poznawcze członków SKNH i Chyba Gimnazjalistów do których dołączyli, przybyli innym autokarem, Licealiści (Post Gimnazjaliści). (...)

Przemysław Damski  
damen32@wp.pl

Dalszy ciąg odnajdziecie na stronie Koła:  
www.sknh.uni.lodz.pl

Redakcja

***Z przyjemnością zapraszamy do ogólnodostępnej, profesjonalnej i nowoczesnej Pracowni Kserograficznej i Intrologatorskiej. Znajduje się w naszym Instytucie, przy szatni.***

***W szerokim wachlarzu usług znajdują się m. in.:***

- *Kserokopie A4 od 6 do 10 groszy*
- *oprawy prac wszelakich*
- *eleganckie passe-partout*
- *wydruki i skanowanie*
- *reperacje i oprawy druków, starych książek, czasopism*

***Pracownia oprawia profesjonalnie każdy rodzaj prac bez względu na format i objętość. Oprawy wykonywane są na miejscu, bez korzystania z tzw. gotowych okładek.***

---

fragmentów ciała, lecz pozwolił sobie skorzystać z usług ludności chłopskiej.

<sup>8</sup> Przesądni mogą w tym upatrywać jakiegoś fatum, które prześladowe Władysława Hermana od historiografii po kadry zdjęć. Oczywiście pozostawiamy czytelnikowi możliwość wyboru interpretacji, lecz prawda jest taka, iż pani utrwalająca nas na kliszy nie mogła się bardziej cofnąć, wskutek czego polski książkę został poddany dekapitacji.